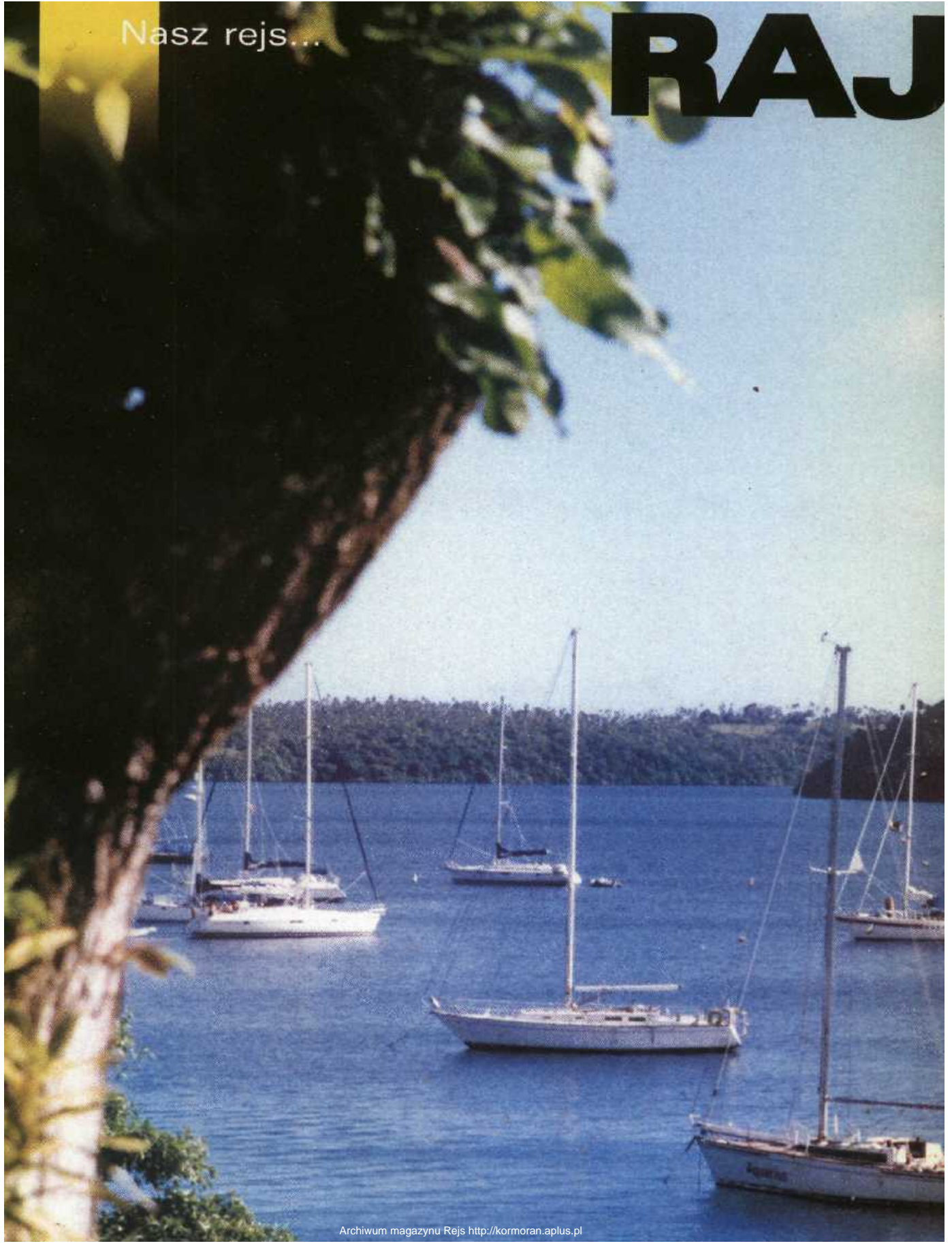


Nasz rejs...

RAJ



NA ZIEMI

Lot z Paryża do Papeete był długi i uciążliwy. Olbrzymi Jumbo Jet zatłoczony jak nasz miejski autobus, nieplanowane lądowanie w Las Vegas, przedłużony postój w Los Angeles, „plastikowe” jedzenie, ze 40 niemowląt koncertujących w ramionach słodko śpiących matek... Lądowanie na Tahiti zmyło ze mnie zmęczenie. Hostessy witające przybyszów przypięły mi do ucha kwiat hibiskusa - do lewego, ucha znaczy, że szukam dziewczyny, a do prawego, że chcę, aby dziewczyna poszukała mnie. Bardzo możliwe, że coś pokręciłem, ale byłem tak podniecony faktem postawienia stopy na Tahiti, że nie bardzo zwracałem uwagę na wyjaśnianie miejscowych zwyczajów, zwłaszcza, że nie znam francuskiego. Nagle zdałem sobie sprawę, że jestem na legendarnej wyspie symbolizującej raj na ziemi.

Jan Tomaszewski



Odnalazłem czekającego na mnie od pięciu godzin właściciela jachtu *BONA TERRA*. Był to Mieczysław Kurpisz, który kiedyś gdzieś na Dalekim Wschodzie zobaczył grupę cumujących w porcie starych szkunerów. Był to widok tak piękny, że nagle poczuł, iż musi opłynąć świat pod żaglami. Zarobił pieniądze, zbudował jacht i wypłynął w rejs dookoła świata. Ja dołączyłem do wyprawy na Tahiti. Nasz plan zakładał dotarcie do Nowej Zelandii przed rozpoczęciem sezonu cyklonów, czyli najpóźniej w końcu listopada. Wszyscy wiedzą, że w tym rejonie leżą wyspy Bora Bora, Samoa, Fuji. Mniej ludzi wie, że są tam jeszcze Wyspy Cooka, rzadko kto słyszał o Tonga. Ale o Niue i Wyspie Wallis, to nawet ja nie wiedziałem, mimo że przed wyjazdem skrupulatnie przyglądałem się mapie Pacyfiku.

Wyruszyliśmy pod koniec lipca. Do Bora Bora z Tahiti, jak sierpem rzucił - niecałe dwie doby. Wyspa przepiękna - stawy, nieczynny wulkan otoczony rafą okalającą lagu-

nę. Na obrzeżach rafy wysepki koralowe, a na jednej z nich kłóży inny, jak nie Stan Wiśniewski. Z Bora Bora płyniemy na Ravotangę - główną wyspę Cook Islands. Tam również polski akcent. Spotykamy miejscową malarkę pochodzącą z Nowej Zelandii i noszącą nazwisko Sobieska. Twierdzi, że z tych Sobieskich. Inną, przesympatyczną postacią jest kapitan portu Don Silk, również pochodzący z Nowej Zelandii, który po burzliwej młodości spędzonej w najróżniejszych rejonach Pacyfiku wylądował na Ravatonga. Jest tam już trzydzieści lat i mówi, że zaczyna się zastanawiać, czy by tu nie osiaść na stałe. Po drodze z Ravatonga na Samoa, na środku oceanu, leży zaznaczona na mapie kropeczką Niue. Z dwóch powodów jest to nietypowa w tym rejonie Pacyfiku wyspa. Po pierwsze jest zupełnie samotna - najbliższy sąsiad to oddalone o 300 mil Pago Pago. Po drugie nie ma laguny i otaczających ją rafowych wy-

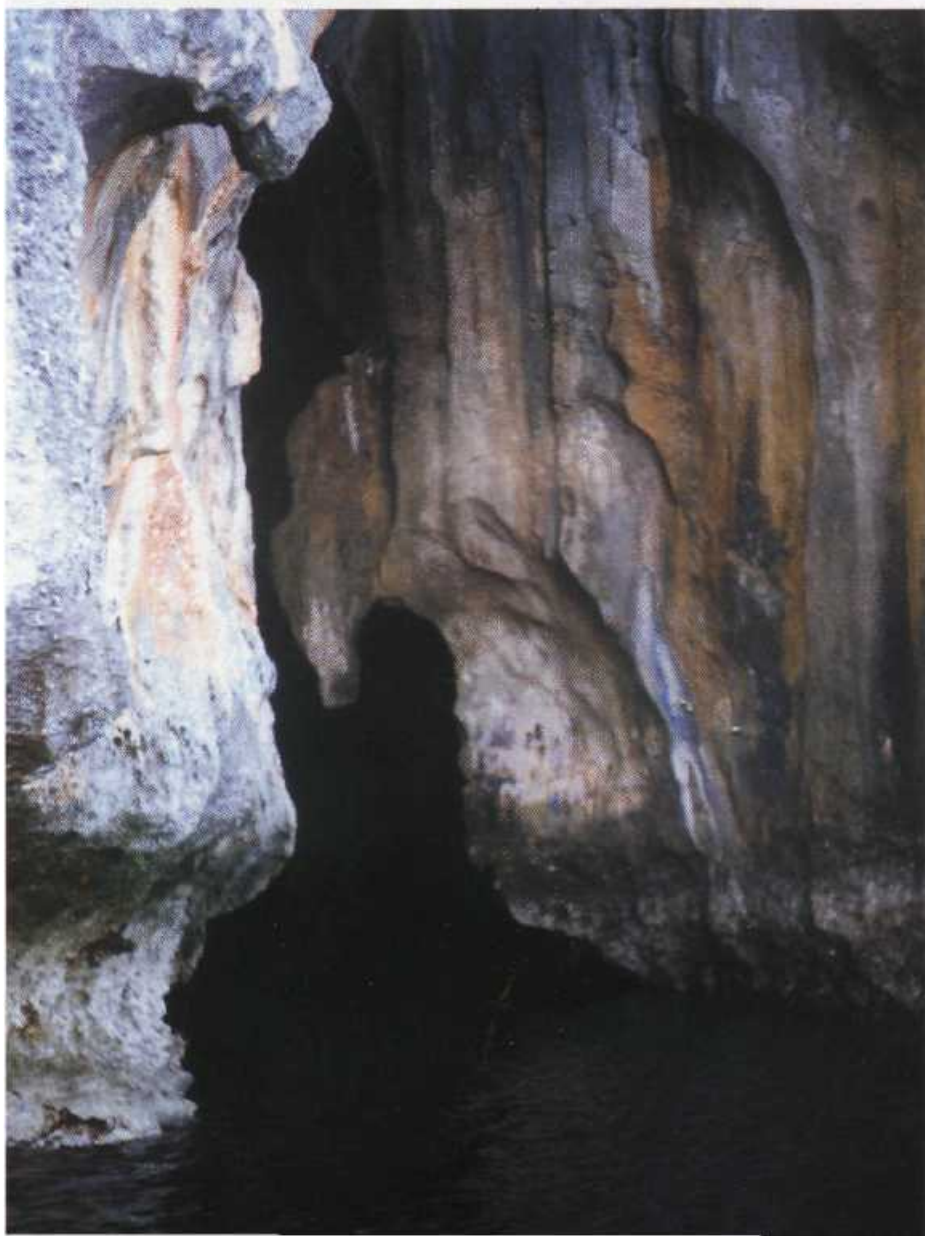
seppek. Niue to obrośnięty koralowcem szczyt podwodnej góry, który w wyniku ruchów tektonicznych wynurzył się z wody tworząc największą na świecie wyspę z „wyniesionego” koralowca - 100 mil kwadratowych. Mimo to na rnpie Pacyfiku wygląda ona jak główka od szpilki. Ze względu na strukturę geologiczną wyspy nie ma tam naturalnych kotwicowisk - wybrzeże to pionowa ściana schodząca na głębokość ponad tysiąca metrów. Tylko w jednym miejscu, od zachodniej strony, jest wyrębana w koralowcu płytka zatoczka z bojami cumowniczymi, bezpiecznymi przy wszystkich wiatrach z wyjątkiem zachodnich. Oczywiście w momencie, kiedy zastanawialiśmy się, którą boję złapać, zaczęło duć z zachodu i trzeba było uciekać. Kilka jachtów stojących przy bojach ledwo zdążyło wymknąć się z zatoki. Niektórzy zostawiali na brzegu zakupy, rowery, a nawet załogantów. Wiatr odkręcał z zachodniego na



północny, potem wschodni, tak że dzięki niemu objechaliśmy wyspę dookoła rozkoszując się wspaniałymi widokami. Największe wrażenie robią gejzery piany wystrzeliwanej do góry w momencie, gdy fala włacza się w nabrzeżne grotty. Widok fascynujący ogromem energii. Przy wschodnim wietrze stanęliśmy wreszcie na boi. Zeszliśmy na ląd. Wyspa przepiękna, roślinność typowo tropikalna, panuje na niej atmosfera smutku i pesymizmu. Objężdżając wyspę dookoła zauważyliśmy mnóstwo opuszczonych domów. Okna bez szyb, drzwi powyrywane z zawiasów, ogrody zarośnięte chwastami. Okazuje się, że głównym źródłem dochodów wyspiarzy była uprawa kokosów, ale kilka lat temu plantacje zostały zniszczone przez szkodniki. Nastąpił eksodus tubylców do Nowej Zelandii i Australii w poszukiwaniu chleba i dolara. To smutne i przygnębiające kiedy się widzi opuszczone wioski i stare zasłony powiewające w wybitych przez wiatr oknach. Tym nie mniej, ci co zostali starają się odbudować status ekonomiczny wyspy. Widzieliśmy plantacje wanilii, cytrusów, szkółki drzew mahoniowych. Ludzie tam pracujący są niezwykle przyjaźni, serdeczni i wręcz pchają się do obiektywu. Miejmy nadzieję, że im się powiedzie. I pomyśleć, że Kapitan Cook nazwał to miejsce Savage Island (Wyspa Dzikich) ponieważ tubylcy nie witali go na kolanach chlebem i solą.

Po Amerykańskim Samoa i Zachodnim Samoa, zamiast iść na południe na Tanga, postanowiliśmy odwiedzić jeszcze mniejszą kropeczkę na mapie, o której nigdy w życiu nie słyszałem, a mianowicie Wallis Island leżącą 250 mil na zachód od wysp Samoa. Jest to przepiękna wyspa. Ani śladu turystów, reklam, biznesu itp. Ma to swoje złe strony, 20 minut zajęło mi zamawianie wody mineralnej. Dopiero, kiedy przypomniałem sobie, że woda kolonska to jest „oo de kolon”, ujrzałem wreszcie przelotny błysk zrozumienia w oczach barmanki.

Nie myślcie sobie, że nie było tam akcentów polskich. Po godzinnej wal-



ce na migi z Wietnamczykiem prowadzącym wypożyczalnię samochodów, byłem już gotów się poddać. Wtedy w kantorku pojawiła się starsza pani mówiąca trochę po angielsku i dzięki niej w końcu się dogadaliśmy. Okazuje się, że ta pani jest zakonnica i pracuje w szkole prowadzonej przez katolicki zakon z centralą w Australii, którego przeorysza jest Polką, a nasza nowa znajoma uwielbia Papieża i oczywiście wszystkich Polaków. Pokazała nam nawet ręcznik frotte z metką „made in Poland”. Ta przesympatyczna osoba znała wyspę doskonale. Poświęciła nam cały dzień pokazując fascynujące miejsca: wyglądające jak olbrzymia studnia jezioro wulkaniczne, legendarne do dziś nie rozszyfrowane miejsce kultu, gdzie podobno wylądowali kosmici - przodkowie wszystkich ludzi. Bez niej nigdy byśmy tam nie trafili.

Inny mity obrazek - kiedy wchodziliśmy do laguny przez „dziurę” w rafie, zobaczyliśmy zakotwiczone przy odległej wysepce rafowej dwa jachty. Od jednego oderwał się bączek i grzeje do nas. „O! Polacy, skąd wy się tu wzięliście? Rzucacie kotwicę tu przynas. Zaraz zrobimy przyjęcie, mamy piwo i coś na ruszt. Tu jest fantastycznie, my już tu stoimy cztery miesiące”...

Fot. Jan Tomaszewski

